



Sycylińczyk

Mario Puzo

Rozdział 1

Michael Corleone stał na długim drewnianym nabrzeżu w Palermo i przyglądał się transatlantykowi wyruszającemu w drogę do Ameryki. Miał popłynąć tym statkiem, ale od ojca nadeszły nowe instrukcje.

Pomachał na pożegnanie ludziom z kutra rybackiego, z którymi przyplłynął do portu i którzy strzelili go przez ostatnie lata. Łódź płynęła białym kilwaterem olbrzymiego statku niczym dzielne małe kaczątko, podążające śladem mamy. Siedzący w niej mężczyźni także mu pomachali; miał ich już nigdy nie zobaczyć.

Na nabrzeżu uwijali się robotnicy w czapkach i workowatych spodniach, którzy wyładowywali ze statków towary i pakowali na ciężarówki, czekające przy długim basenie portowym. Byli to niscy, żyłaści mężczyźni, wyglądający bardziej na Arabów niż na Włochów, w czapkach z daszkami, które ocieniały im twarze. Wśród nich znajdowali się nowi ochroniarze pilnujący, aby nie spotkało go nic złego, dopóki nie zobaczy się z don Crocem Malo, *capo di capi* przyjaciół przyjaciół, jak zwano ich na Sycylii. Gazety i reszta świata nazywały ich mafią, ale słowo to nigdy nie przeszłoby przez gardło rodowitemu Sycylijczykowi. Tak jak nigdy nie nazwałby on don Crocego Malo *capo di capi*, tylko użyłby

określenia „dobra dusza”.

W ciągu dwóch lat sycylijskiego wygnania Michael słyszał wiele opowieści o don Crocem, niektóre tak fantastyczne, że omal nie wierzył, aby taki człowiek mógł istnieć naprawdę. Ale instrukcje ojca były wyraźne: jeszcze tego samego dnia musi zjeść obiad z don Crocem. Mieli przygotować wspólnie ucieczkę Salvatore Guiliana, najgroźniejszego bandyty w kraju. Michael Corleone nie mógł bez niego opuścić Sycylii.

Przy końcu nabrzeża, nie dalej niż pięćdziesiąt metrów, czekało u wylotu wąskiej uliczki wielkie ciemne auto. Stało przed nim trzech mężczyzn; ciemne prostokątne sylwetki odcinające się na tle oślepiającej ściany światła słonecznego, które niczym złota ulewa spływało z nieba. Michael ruszył w ich kierunku. Przystanął na chwilę, aby zapalić papierosa i rzucić okiem na miasto.

Palermo rozłożyło się na dnie niecki utworzonej przez wygasły wulkan, z trzech stron otaczały ją wzgórza, z czwartej zaś otwierała się na oślepiający błękit Morza Śródziemnego. Miasto połyskiwało w złotych promieniach sycylijskiego południa. Ziemia mieniła się czerwonymi odbłaskami, tak jakby odbijała krew, która w ciągu niezliczonych wieków wsiąkała w sycylijską glebę. Żłociste światło zalewało dumne marmurowe kolumny greckich świątyń, cienkie jak pajęczne nogi mauretańskie minarety, pełne zawilej ornamentyki fasady hiszpańskich katedr; na przeciwległym stoku stroszyły się blanki murów średniowiecznego normańskiego zamku. Wszystko to pozostało po rozmaitych okrutnych armiach, które rządziły Sycylią od czasów sprzed narodzenia Chrystusa. Wydawało się, że widoczny poza murami zamku łańcuch stożkowatych wierzchołków trzyma to trochę zniewieściałe miasto w dławiącym uścisku i w miarę jak sznur zaciska się mocno na szyi grodu, kat i jego ofiara osuwają się wdzięcznym ruchem na kolana. Wysoko w górze szybowały po olśniewającym lazurowym niebie niezliczone sycylijskie sokoły.

Michael ruszył w kierunku trzech mężczyzn czekających na niego przy końcu nabrzeża. Z czarnych prostokątów wyłaniały się stopniowo twarze i sylwetki. Z każdym krokiem widział ich coraz wyraźniej, a oni zdawali się odsuwać od siebie, tak jakby na powitanie chcieli go wziąć w środek.

Mężczyźni znali historię Michaela. Wiedzieli, że jest najmłodszym synem wielkiego dona Corleone z Ameryki, Ojca Chrzestnego, którego potęgą sięgała nawet Sycylii. Podczas wykonywania wyroku na wrogu imperium Rodziny Corleone zamordował wysokiego rangą policjanta z Nowego Jorku. Z powodu tego zabójstwa ukrywał się tu, na Sycylii, i w końcu, gdy sprawy zostały „załatwione”, miał wrócić do ojczyzny, na swoje miejsce następcy tronu Rodziny Corleone. Przyglądali się Michaelowi, jak poruszał się zwinnie i bez wysiłku, z czujną ostrożnością, patrzyli na jego zapadniętą z jednej strony twarz, która świadczyła o tym, że narażał się na cierpienia i niebezpieczeństwa. Bez wątplenia był człowiekiem „godnym szacunku”.

Gdy Michael zszedł z pomostu, pierwszy powitał go ksiądz, który tęą sylwetkę ukrywał pod sutanną, a na głowie miał zatłuszczony, przypominający nietoperza kapelusz. Jego białą koloratkę upstrzył czerwony sycylijski kurz, widoczna nad nią twarz była pulchna i pospolita.

Ojciec Beniamino Malo, brat wielkiego don Crocego, odznaczał się nieśmiałym, pobożnym zachowaniem, ale był oddany swemu sławnemu krewnemu i nigdy nie niepokoił się tym, że obcuje tak blisko z diabłem. Złośliwi szeptali nawet, że przekazuje don Crocemu tajemnice konfesjonału.

Ściskając rękę Michaela, ojciec Beniamino uśmiechnął się nerwowo. Wydawał się zaskoczony i uspokojony przyjaznym, choć zdeformowanym uśmiechem Michaela, tak nie na miejscu u sławnego mordercy.

Drugi z mężczyzn nie okazywał takiej serdeczności, choć zachowywał się dość uprzejmie. Był to inspektor Frederico

Velardi, szef sycylijskiej służby bezpieczeństwa. Tylko na jego twarzy nie pojawił się powitalny uśmiech. Szczupły i zbyt wytwornie ubrany jak na człowieka pobierającego rządową pensję, a jego zimne niebieskie oczy zdradzały genetyczne pokrewieństwo z pradawnymi normańskimi zdobywcami. Inspektor Velardi miał prawo nie darzyć sympatią Amerykanina, który zabijał wysokiej rangi policjantów. Mógł przecież poprobować szczęścia i na Sycylii. Uścisk dłoni inspektora był lodowaty jak dotknięcie klingi miecza.

Trzeci mężczyzna był wyższy i potężniejszej budowy; obok tamtych dwóch wydawał się ogromny. Przytrzymał dłoń Michaela, a potem objął go w serdecznym uścisku.

— Kuzynie Michaelu — powiedział. — Witaj w Palermo. — Cofnął się i obrzucił Michaela przyjaznym, ale ostrożnym spojrzeniem. — Jestem Stefano Andolini, dorastałem razem z twoim ojcem w Corleone. Widziałem cię w Ameryce, kiedy byłeś dzieckiem. Pamiętasz mnie?

Rzecz dziwna, Michael pamiętał. Albowiem Stefano Andolini reprezentował najrzadszy typ Sycylijczyka, miał rude włosy. Stanowiło to jego wieczną udrękę, gdyż Sycylijczycy wierzą, że Judasz był rudzielcem. Kto ujrzał tę twarz, już jej nie zapomniał. Grube wargi dużych, nieregularnych ust przypominały krwiste, porąbane mięso, nad nimi widniały owłosione nozdrza i głęboko zapadnięte oczy. Choć się uśmiechał, jego twarz przywodziła na myśl mordercę z sennego koszmaru.

Jeśli chodzi o księdza, to Michael z miejsca pojął, co duchownego tu sprowadziło. Zaskoczyła go natomiast obecność inspektora Velardiego. Wywiązując się z obowiązków krewnego, Andolini szczegółowo wyjaśnił mu oficjalną rolę inspektora. Michael był ostrożny. Co ten gość tu robił? Velardi miał opinię jednego z najbardziej nieprzejednanych prześladowców Guiliana. Było też oczywiste, że inspektor i Stefano Andolini nie cierpią się nawzajem; odnosili się do

siebie z subtelną kurtuazją ludzi gotujących się do pojedynku na śmierć i życie.

Kierowca otworzył im drzwi samochodu. Ojciec Beniamino i Stefano Andolini pełnym szacunku poklepywaniem po ramieniu wskazali Michaelowi miejsce na tylnym siedzeniu. Ojciec Beniamino nalegał z chrześcijańską pokorą, aby Michael usiadł przy oknie, żeby mógł obejrzeć piękności Palermo, sam zaś zajął miejsce w środku. Andolini także usiadł z tyłu, po drugiej stronie. Inspektor zdążył już wskoczyć na siedzenie obok kierowcy. Michael zauważył, że Velardi trzyma dłoń na klamce drzwi, aby móc je szybko otworzyć. Przemknęło mu przez głowę, że ojciec Beniamino tak skwapliwie usiadł w środku, żeby stać się mniej wyraźnym celem w razie ataku.

Niczym wielki, czarny smok auto ruszyło ulicami Palermo. Przy alei, którą przemierzali, wznosiły się pełne wdzięku mauretańskie domy, masywne, zdobione greckimi kolumnami budowle publiczne, hiszpańskie katedry. Domy mieszkalne zostały pomalowane na niebiesko, białe, żółte, wszystkie miały balkony przyozdobione girlandami kwiatów, które zdawały się tworzyć nad ich głowami jeszcze jedną aleję. Byłby to ładny widok, gdyby nie patrole karabinierów, włoskich żandarmów, którzy z bronią gotową do strzału stali na każdym rogu. Wielu żandarmów widać też było na górujących nad ulicą balkonach.

Auto, którym jechali, robiło wrażenie olbrzyma pośród otaczających go pojazdów, zwłaszcza zaprzężonych w muły chłopskich wozów, którymi przywożono tu ze wsi większość produktów. Były one pomalowane na wesołe, żywe kolory, okrywające każdy centymetr ich powierzchni aż po szprychy kół i dyszle. Na bocznych deskach wielu z nich widać było całe malowidła przedstawiające rycerzy w hełmach i królów w koronach w dramatycznych scenach z legend o Karolu Wielkim i Rolandzie, starodawnych bohaterach sycylijskiego

folkloru. Na kilku wozach Michael dostrzegł jednak postać przystojnego młodzieńca w moleskinowych spodniach i białej koszuli bez rękawów, z pistoletami za pasem i przewieszoną przez ramię strzelbą, a poniżej nabazgrane niewyraźnie napisy, których dwie linijki kończyły się nieodmiennie wielkimi, czerwonymi literami układającymi się w nazwisko GUILIANO.

W czasie swego pobytu na Sycylii Michael wiele słyszał o Salvatore Guilianie. Jego nazwisko pojawiało się bezustannie w gazetach. Ludzie mówili o nim wszędzie. Młoda żona Michaela, Apollonia, wyznała mu, że co wieczór modli się o bezpieczeństwo Guiliana, jak to czyniły prawie wszystkie dzieci i młodzi ludzie na Sycylii. Uwielbiali go, był jednym z nich, człowiekiem, jakim sami pragnęli się stać. Młody, dwudziestoparoletni, został obwołany wielkim przywódcą, gdyż potrafił przeciwstawić się wysyłanym przeciwko niemu armiom karabinierów. Był przystojny i szczodry, oddawał biednym większą część swoich przestępczych dochodów. Jako człowiek prawy nigdy nie pozwalał swoim ludziom molestować kobiet czy napadać na księży. Gdy wykonywał wyrok na donosicielu albo zdrajcy, zawsze zostawiał ofierze czas na modlitwę i oczyszczenie duszy, aby mogła zjednać sobie jak największą przychylność władców tamtego świata. O tym wszystkim Michael wiedział.

Auto skręciło w boczną ulicę i wzrok Michaela przyciągnął ogromny, wypisany czarnymi literami plakat, wiszący na ścianie domu. Zdażył tylko dostrzec widniejące w górnej linijce słowo GUILIANO. Ojciec Beniamino pochylił się do okna i powiedział:

— To jedna z proklamacji Guiliana. Mimo wszystko w nocy Palermo nadal należy do niego.

— A co ona głosi? — zapytał Michael.

— Znów zezwala mieszkańcom miasta jeździć tramwajami — odparł ojciec Beniamino.

— Zezwala? — powtórzył Michael w uśmiechem. — Człowiek wyjęty spod prawa zezwala?

Siedzący po drugiej stronie Stefano Andolini roześmiał się.

— Tramwajami jeżdżą *carabinieri*, więc Guiliano wysadza je w powietrze. Ale przedtem ostrzegł ludzi, żeby z nich nie korzystali. A teraz przyrzeka, że już nie będzie podkładał tam bomb.

— Ale dlaczego Guiliano wysadza w powietrze tramwaje pełne żandarmów? — spytał sucho Michael.

Inspektor Velardi odwrócił głowę i przeszył Michaela spojrzeniem swoich niebieskich oczu.

— Ponieważ Rzym w swej głupocie kazał aresztować jego ojca i matkę za zadawanie się ze znanym kryminalistą, ich synem. Faszystowskie prawo, wciąż nieuchylone przez republikę.

Ojciec Beniamino oznajmił spokojnym, dumnym głosem:

— Mój brat, don Croce, załatwił już ich zwolnienie. Och, mój brat był bardzo zły na tych z Rzymu.

Chryste Panie, pomyślał Michael. Don Croce był zły na tych z Rzymu? Kim w istocie jest ten mafijny *pezzonovante*?

Samochód zatrzymał się przed długim, pomalowanym na różowo budynkiem. Wszystkie jego narożniki wieńczyły smukłe, niebieskie wieżyczki. Pod przyciągającym uwagę, szerokim baldachimem w zielone prążki z napisem HOTEL UMBERTO wejścia strzegło dwóch odźwiernych w jaskrawych liberiach ze złotymi guzikami. Ale przepych ten nie rozproszył uwagi Michaela.

Obrzucił wprawnym okiem ulicę przed hotelem. Zauważył przynajmniej dziesięciu ochroniarzy, którzy spacerowali parami albo opierali się o żelazną balustradę. Nie ukrywali swojej roli. Spod rozpiętych marynarek wyglądały rzemienie przytrzymujące broń. Dwaj z nich z cienkimi cygarami w ustach na moment zagrodzili Michaelowi drogę, gdy wysiadał z samochodu, i zlustrowali go uważnym spojrzeniem,

tak jakby brali mu miarę na trumnę. Nie zwrócili uwagi na inspektora Velardiego i pozostałych.

Gdy przybysze znaleźli się w hotelu, odźwierni dokładnie zamknęli za nimi drzwi. W holu pojawiło się jeszcze czterech ochroniarzy, którzy odprowadzili ich długim korytarzem. Ludzie ci mieli dumne miny służących cesarskiego pałacu.

Koniec korytarza zagradzały masywne dwuskrzydłowe dębowe drzwi. Siedzący na wysokim, przypominającym tron krześle mężczyzna wstał i otworzył je kluczem z brązu. Ukłonił się, przesyłając ojcu Beniaminowi porozumiewawczy uśmiech.

Goście ujrzeli wspaniały apartament; otwarte, oszklone drzwi ukazywały głębię pysznego ogrodu, z którego dochodził aromat cytrusów. Wchodząc do środka, Michael dostrzegł dwóch ludzi, postawionych na straży wewnątrz pomieszczenia. Zastanawiał się, czemu don Crocego strzeże tak wielu ludzi. Był przyjacielem Guiliana, ale także zaufanym ministra sprawiedliwości w Rzymie, toteż nic nie groziło mu ze strony karabinierów, którzy zapełniali ulice Palermo. Kogo zatem i czego obawiał się wielki don? Kto był jego wrogiem?

Umebłowanie salonu zaprojektowano jak dla któregoś z włoskich pałaców — stały tu przepastne fotele, długie i głębokie sofy przypominające małe okręty i masywne marmurowe stoły, które robiły wrażenie, jakby skradziono je z muzeum. Tworzyły one doskonałą oprawę dla człowieka, który wszedł właśnie z ogrodu, aby ich powitać.

Już z daleka wyciągnął ręce, aby objąć Michaela Corleone. W pozycji stojącej don Croce wyglądał tak, jakby szerokość jego sylwetki dorównywała jej wysokości. Jego głowę wieńczyły gęste, siwe włosy, kręcone jak u Murzyna i starannie przystrzyżone. Oczy miał ciemne niczym jaszczurka, dwie rodzyнки osadzone nad wydatnymi, mięsistymi policzkami. Policzki te przypominały dwa grube mahoniowe obładry, z lewej strony zheblowane na gładko, z prawej

pofałdowane z powodu nadmiaru ciała. Zaskakująco delikatne były jego usta, nad którymi czernił się cienki wąs. Twarz tę spajał gruby jak kołek, okazały nos.

Potężną talię opasywały ogromne, źle dopasowane spodnie, wiszące na szerokich, niegdyś białych szelkach. Miał na sobie obszerną, świeżo wypraną, ale nieodprasowaną białą koszulę. Nie nosił krawata ani marynarki i stał boso na marmurowej posadzce.

Nie wyglądał na człowieka, który „moczy dziób” w każdym handlowym przedsięwzięciu w Palermo, nawet skromnych straganach na rynku. Trudno było uwierzyć, że ma na sumieniu śmierć tysięcy osób. Że o wiele mocniejszą ręką rządzi zachodnią Sycylią niż Rzym. I że jest bogatszy od książąt i baronów, właścicieli wielkich sycylijskich majątków ziemskich.

Uścisnął lekko Michaela i powiedział:

— Znałem twojego ojca, gdy byliśmy dziećmi. To dla mnie radość, że ma tak świetnego syna.

Następnie wypytał swego gościa, czy podróż była wygodna i czy ma w tej chwili jakieś życzenia. Michael uśmiechnął się i odparł, że z przyjemnością zjadłby kęs chleba i popił kropelką wina. Don Croce poprowadził go natychmiast do ogrodu, gdyż wzorem wszystkich Sycylijczyków spożywał posiłki na wolnym powietrzu, jeśli tylko miał po temu sposobność.

Stół ustawiono koło drzewka cytrynowego. Połyskiwały na nim kieliszki i jaśniał delikatny, biały obrus. Służący odsunęli obszerne trzcinowe krzesła. Don Croce z uprzejmym ożywieniem doglądał siadania do stołu, robiąc wrażenie młodszego, niż był w istocie, a miał już ponad sześćdziesiąt lat. Posadził Michaela po prawej, a swego brata w sutannie po lewej. Inspektora Velardiego i Stefano Andoliniego umieścił naprzeciw siebie, rzucając im nieco chłodne spojrzenia.

Wszyscy Sycylijczycy lubią dobrze zjeść, jeśli tylko mają

co. Ludzie niekiedy dobrotliwie żartowali z don Crocego, twierdząc, że wolałby on spożyć dobry posiłek, niż zabić wroga. Teraz siedział z błogim uśmiechem zadowolenia, trzymając nóż i widelec, podczas gdy służący wnosili jedzenie. Michael rozejrzał się po ogrodzie. Był on otoczony wysokim kamiennym murem, a przy osobnych stolikach siedziało co najmniej dziesięciu ludzi z ochrony, ale nie więcej niż po dwóch przy każdym i w przyzwoitej odległości od don Crocego, aby nie przeszkadzać jemu i jego gościom. Ogród wypełniał aromat drzew cytrynowych i oliwnych.

Don Croce osobiście obsługiwał Michaela, nakładając mu na talerz pieczonego kurczaka i ziemniaki, doglądając posypywania tartym serem spaghetti na mniejszym talerzu i napełniając jego kielich nieprzejrzystym miejscowym białym winem. Żywe zainteresowanie i szczerą troskliwość gospodarza mówiły, że zależy mu, aby jego nowy przyjaciel dobrze zjadł i wypił. Michael był głodny, nie miał nic w ustach od świtu, ale don bezustannie dokładał mu jedzenia. Miał też na oku pozostałych gości i w razie potrzeby dawał znak służącemu, aby napełnił kielich albo dołożył jedzenia na pusty talerz.

Posiłek dobiegł wreszcie końca i don, pijąc z małej filiżanki espresso, gotów był zająć się interesami.

— Zatem zamierzasz pomóc naszemu przyjacielowi Guilianowi w ucieczce do Ameryki — zwrócił się do Michaela.

— Takie mam instrukcje — odparł Michael. — Muszę zadbać, żeby bez przeszkód dotarł do Stanów.

Don Croce kiwnął głową; na jego masywnej mahoniowej twarzy malowała się właściwa wszystkim grubasom senna życzliwość. Michaela zaskoczyło, że gospodarz mówi takim dźwięcznym tenorem.

— Wszystko to zostało uzgodnione między mną i twoim ojcem. Miałem dostarczyć ci Salvatore Guiliana. Ale w życiu nic nie idzie gładko, zawsze pojawia się coś nieoczekiwanego.

Trudno mi jest dotrzymać w tym momencie warunków umowy. — Uniósł rękę, dając Michaelowi znak, żeby mu nie przerywał. — Nie ma w tym mojej winy. Ja nie zmieniłem stanowiska. Guiliano jednak nie ufa już nikomu, nawet mnie. Latami, niemal od dnia, w którym wyjęto go spod prawa, pomagałem mu przeżyć. Można by rzec, że byliśmy współnikami. Przy mojej pomocy stał się największym człowiekiem na Sycylii, choć nawet teraz jest tylko dwudziestosiedmioletnim chłopakiem. Ale jego czas się skończył. Pięć tysięcy włoskich żołnierzy i żandarmów przeszukuje góry, a on ciągle odmawia oddania się w moje ręce.

— W takim razie nie mogę nic dla niego zrobić — powiedział Michael. — Mam polecenie czekać nie dłużej niż siedem dni, potem będę musiał wyjechać do Ameryki.

Wypowiadając te słowa, zastanawiał się, dlaczego jego ojcu tak zależało na ucieczce Guiliana. Po tylu latach wygnania rozpaczliwie pragnął wrócić do domu. Martwił się o zdrowie ojca. Gdy uciekał z Ameryki, ciężko ranny ojciec leżał w szpitalu. Już po ucieczce został zamordowany jego starszy brat Sonny. Rodzina Corleone pogrążona była w desperackiej walce o przetrwanie przeciwko Pięciu Rodzinom nowojorskim. Walce z wrogiem, którego macki sięgnęły w głąb Sycylii, ściągając śmierć na młodziutką żonę Michaela. Posłańcy ojca co prawda przywieźli wiadomość, że stary don wylizał się z ran, że zawarł pokój z Pięcioma Rodzinami, że załatwił oddalenie wszelkich zarzutów wobec Michaela, lecz Michael zdawał sobie sprawę, że ojciec czeka na jego powrót, aby zrobić z niego swoją prawą rękę. Że pragnie go zobaczyć cała rodzina — siostra Connie, brat Freddie, „przyszywany” brat Tom Hagen, no i biedna matka, która z pewnością wciąż boleje nad śmiercią Sonny’ego. Na moment w myślach Michaela zagościła Kay — czy ona jeszcze o nim myśli, chociaż zniknął na całe dwa lata? Podstawowe pytanie brzmiało jednak: dlaczego ojciec odwleka jego powrót?

Powodem mogła być tylko jakaś rzecz najwyższej wagi, związana z Guilianem.

Nagle uświadomił sobie, że inspektor Velardi wpatruje się w niego uważnie swymi niebieskimi zimnymi oczami. Na jego szczupłej, arystokratycznej twarzy malowała się pogarda, tak jakby Michael okazał tchórzostwo.

— Bądź cierpliwy — powiedział don Croce. — Nasz przyjaciel Andolini nadal zapewnia kontakt między mną a Guilianem i jego rodziną. Rozważymy sprawę wspólnie. Gdy będziesz jechał do Trapani, odwiedzisz ojca i matkę Guiliana w Montelepre; to po drodze. — Przerwał na chwilę i rozjaśnił się w uśmiechu, który nie poruszył mięsistych policzków. — Poinformowano mnie o twoich planach. Wszystkich bez wyjątku. — Powiedział to ze szczególnym naciskiem, ale Michaelowi przeleciało przez głowę, że don nie mógł znać wszystkich jego planów. Ojciec Chrzestny nigdy nie informował nikogo o wszystkich swoich zamiarach.

Don Croce podjął spokojnym tonem:

— Wszyscy, którzy kochamy Guiliana, zgadzamy się co do dwóch spraw. Że nie może pozostać dłużej na Sycylii i musi wyemigrować do Ameryki. Inspektor Velardi też się z tym zgadza.

— To dziwne, nawet jak na Sycylię — stwierdził z uśmiechem Michael. — Inspektor jest szefem sił bezpieczeństwa, które zaprzysięgły, że złapią Guiliana.

Don Croce roześmiał się urwanym, machinalnym chichotem.

— Któż zdoła zrozumieć Sycylię? Ale to proste. Rzym woli, żeby Guiliano dotarł szczęśliwie do Ameryki, niż żeby wykrzykiwał oskarżenia w sądzie w Palermo. To tylko polityka.

Michael był oszołomiony. Czuł się wyjątkowo niezręcznie. Sprawy nie rozwijały się zgodnie z planem.

— Dlaczego w interesie inspektora Velardiego leży, żeby

on uciekł? Martwy Guiliano nie stanowiłby żadnego zagrożenia.

Inspektor Velardi odrzekł mu pogardliwie:

— Wolałbym takie wyjście, ale don Croce kocha go jak syna.

Stefano Andolini wlepił w inspektora nienawistne spojrzenie. Ojciec Beniamino pochylił głowę, pociągając z kieliszka. Ale don Croce zwrócił się surowym tonem do inspektora:

— Wszyscy przy tym stole jesteście przyjaciółmi, musimy powiedzieć Michaelowi prawdę. Guiliano ma w rękawie asa. Napisał pamiętnik, który nazywa swoim Testamentem. Zamieścił w nim dowody, że rząd w Rzymie — a właściwie niektórzy wysocy oficjele — pomógł mu w jego bandyckich latach, robiąc to dla własnych politycznych celów. Gdyby ten dokument został ujawniony, upadłby rząd chrześcijańskiej demokracji, a my mielibyśmy Włochy rządzone przez socjalistów i komunistów. Inspektor Velardi zgadza się ze mną, że trzeba zrobić wszystko, by do tego nie doszło. Tak więc gotów jest pomóc, aby Guiliano uciekł z tym swoim Testamentem, ma się rozumieć, pod warunkiem że nie zostanie on ogłoszony.

— Widział pan ten Testament? — zapytał Michael. Zastanawiał się, czy ojciec wie o jego istnieniu. Instrukcje nie wspominały ani słowem o takim dokumencie.

— Znam jego treść — odparł don Croce.

Inspektor Velardi wtrącił ostrym tonem:

— Gdyby decyzja należała do mnie, kazałbym zabić Guiliana i posłać go do diabła razem z jego Testamentem.

Stefano Andolini rzucił inspektorowi spojrzenie pełne otwartej nienawiści. Michaelowi po raz pierwszy przyszło do głowy, że ma przed sobą człowieka niemal tak groźnego jak sam don Croce.

— Guiliano nie podda się nigdy, a pan nie jest wystarczająco dobry, żeby go posłać do grobu — powiedział

Andolini. — Zrobiłby pan o wiele mądrzej, gdyby zaczął pan troszczyć się o własną skórę.

Don Croce uniósł powoli rękę i przy stole zapadła cisza. Nie zwracając uwagi na pozostałych, zwrócił się do Michaela:

— Może się zdarzyć, że nie będę mógł spełnić obietnicy, jaką złożyłem twojemu ojcu, że dostarczę ci Guiliana. Nie mogę ci powiedzieć, dlaczego don Corleone angażuje się w tę sprawę. Zapewniam cię jednak, że ma po temu powody, i to ważne. Ale co mogę zrobić? Dziś po południu pojedziesz do rodziców Guiliana, przekonaj ich, że ich syn powinien mi zaufać, i przypomnij tym zacnym ludziom, że to ja kazałem zwolnić ich z więzienia. — Urwał na chwilę. — A wtedy być może będziemy mogli pomóc ich synowi.

W ciągu lat wygnania i życia w ukryciu Michael wyrobił w sobie niemal zwierzęcy instynkt wyczuwania niebezpieczeństwa. Darzył niechęcią inspektora Velardiego, bał się morderczych zapędów Stefano Andoliniego, a ojciec Beniamino przyprawiał go o dreszcze. Nade wszystko jednak jego myśli zakłócały alarmujące sygnały dobiegające od don Crocego.

Zwracając się do don Crocego, wszyscy mężczyźni siedzący przy stole zniżyli głos, robił to nawet jego rodzony brat, ojciec Beniamino. Pochylali się ku niemu z szacunkiem, czekając, aż przemówi, przestawali w tym momencie jeść. Służący krążyli wokół niego, jakby był słońcem, rozstawieni w ogrodzie ludzie z obstawy nie spuszczały go z oka, gotowi na jego rozkaz skoczyć i rozerwać na strzępy każdego, kto by się napatoczył.

Michael powiedział, cedząc z namysłem każde słowo:

— Don Croce, jestem tu po to, żeby spełnić każde pańskie życzenie.

Don Croce skinął ogromną głową na znak błogosławieństwa, założył kształtne dłonie na brzuchu i odezwał się władcym tenorem:

— Musimy być wobec siebie absolutnie szczerzy. Powiedz mi, jak zaplanowałeś ucieczkę Guiliana? Rozmawiaj ze mną jak syn z ojcem.

Michael zerknął ukradkiem na inspektora Velardiego. Nigdy nie zdobyłby się na szczerłość w obecności szefa sycylijskiej służby bezpieczeństwa. Don Croce pojął to natychmiast.

— Inspektor Velardi kieruje się we wszystkim moją radą — powiedział. — Możesz mu ufać tak jak mnie.

Michael uniósł kieliszek, żeby pociągnąć łyk wina. Ponad jego krawędzią widział obserwujących ich ludzi z obstawy, widzów rozgrywającego się spektaklu. Zauważył na twarzy inspektora niechętny grymas zdradzający, że Velardiemu nie przypadła do gustu dyplomatyczna odzywka don Crocego wskazująca jasno, że don Croce rządzi nim i jego urzędem. Dojrzał mordercze skrzywienie grubych warg Andoliniego. Tylko ojciec Beniamino pochylił głowę, unikając jego wzroku. Michael wychylił mętawe, białe wino i służący natychmiast napełnił jego kieliszek. Ten ogród nagle wydał się Michaelowi niebezpiecznym miejscem.

Przeczuwał, że to, co powiedział don Croce, nie mogło być prawdą. Czemuż to ktokolwiek z siedzących przy tym stole miałby ufać szefowi służby bezpieczeństwa? Czy mógłby mu zaufać także Guiliano? Historia Sycylii naszpikowana jest zdradą, pomyślał z goryczą; przed oczami stanęła mu zamordowana żona. Dlaczego więc don Croce był tak ufny? I skąd wokół niego tylu ochroniarzy? Don Croce był czołowym przywódcą mafii. Miał nader silne powiązania z władzą w Rzymie i w istocie służył jako nieoficjalny przedstawiciel tamtejszych urzędników na Sycylii. Czegóż więc don Croce mógł się obawiać? Chyba tylko Guiliana.

Michael starał się mówić jak najszczerzej, czując na sobie wzrok dona.

— Mój plan jest prosty. Mam czekać w Trapani, aż

zostanie mi dostarczony Guiliano. Przez pana i pańskich ludzi. Szybki statek przewiezie nas do Afryki. Będziemy oczywiście dysponować koniecznymi dokumentami. Z Afryki polecimy do Stanów, gdzie wszystko jest już przygotowane, żebyśmy mogli tam wjechać bez zwykłych formalności. Mam nadzieję, że będzie to tak łatwe, jak mnie zapewniano. — Zawiesił na chwilę głos. — Chyba że zaleci pan coś innego.

Don westchnął i pociągnął łyk wina. A potem utkwiał wzrok w Michaelu. Zaczął mówić powoli i z naciskiem:

— Sycylia to tragiczny kraj. Brakuje tu zaufania. Brakuje porządku. Jest tylko wiele gwałtu i zdrady. Robisz wrażenie człowieka przezornego, mój młody przyjacielu, i masz pod każdym względem słusność. Tak jak i nasz Guiliano. Pozwól, że ci powiem: Turi Guiliano nie przeżyłby bez mojej protekcji, on i ja byliśmy niczym dwa palce tej samej ręki. Ale teraz on uważa mnie za wroga. Och, nie przeczuwasz nawet, jak mnie to smuci. Marzę tylko o tym, żeby pewnego dnia Turi Guiliano mógł wrócić do swojej rodziny i został obwołany bohaterem Sycylii. Jest szczerym chrześcijaninem i dzielnym człowiekiem. I ma tak czułe serce, że zaskarbił sobie miłość wszystkich Sycylijczyków. — Don Croce zamilkł i pociągnął łyk wina. — Ale sprawy przyjęły groźny dla niego obrót. Został w górach sam, zaledwie z garstką ludzi, w obliczu armii, jaką Włochy posyłają przeciwko niemu. Ostatnio na każdym kroku spotyka zdradę, toteż nie ufa już nikomu, nawet sobie.

Przez chwilę don mierzył Michaela chłodnym spojrzeniem.

— Jeśli mam być całkowicie szczerzy — powiedział — to gdybym nie kochał Guiliana tak bardzo, być może udzieliłbym ci rady, której nie jestem ci winien. Może powiedziałbym ci z całą uczciwością, żebyś wracał do Ameryki bez niego. Docieramy do zakończenia tragedii, która ciebie w najmniejszym stopniu nie dotyczy. — Urwał znowu i wetschnął. — Ale, oczywiście, jesteś naszą jedyną nadzieją i muszę prosić,

żebyś został i pomógł naszej sprawie. Będę cię wspierał na wszystkie sposoby, nigdy nie porzucę Guiliana. — Don Croce uniósł kielich. — Niechby żył i tysiąc lat.

Wszyscy opróżnili kieliszki i Michael pograżył się w rozmyślaniach. Czy don chce, żeby został, czy też żeby zostawił Guiliana na pastwę losu?

— Pamiętajmy — odezwał się Stefano Andolini — obiecaliśmy rodzicom Guiliana, że Michael odwiedzi ich w Montelepre.

— Oczywiście — przytaknął ściszym głosem don Croce. — Musimy dać jego rodzicom choć odrobinę nadziei.

Ojciec Beniamino odezwał się nieco zbyt unizonym, natarczywym tonem:

— Może będą coś wiedzieli o jego Testamencie.

Don Croce westchnął.

— Tak. Testament Guiliana. On myśli, że ten dokument ocali mu życie, a przynajmniej pomści jego śmierć. — Zwrócił się wprost do Michaela. — Zapamiętaj to. Rzym boi się jego Testamentu, ale ja ani trochę. Powiedz też jego rodzicom, że to, co jest zapisane na papierze, ma wpływ na historię, lecz nie na życie. Życie to całkiem inna historia.

Droga z Palermo do Montelepre zajęła niecałą godzinę. Ale w ciągu tej godziny Michael i Andolini przenieśli się z miejskiej cywilizacji do prymitywnego świata sycylijskiej wsi. Małego fiata prowadził Stefano Andolini; jego gładko ogolone policzki i broda płonęły niezliczonymi ziarenkami szkarłatnych cebulek włosowych. Jechał ostrożnie i powoli, jak ludzie, którzy nauczyli się prowadzić samochód w późnym wieku. Podczas wspinaczki krętą drogą wiodącą przez rozległy masyw fiata dyszał ciężko, jakby mu brakło tchu.

Pięć razy zatrzymywały ich w różnych miejscach blokady żandarmów, co najmniej dwunastoosobowe plutony, wspo-